

Fantastyka

wydanie specjalne

cena 9 zł 99 gr (w tym 8% vat)

numer 1 (42) 2014

**ALASTAIR
REYNOLDS**

TYSIĘCZNA NOC

EWA BURY

WIECZÓR W OGRODZIE

MAŁGORZATA WIECZOREK
KOŁA NA WODZIE

ŁUKASZ GÓRSKI
UPADEK TROI

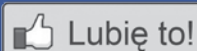
LAIRD BARRON
NIEPROSZENI GOŚCIE

 **PRÓSZYŃSKI
MEDIA**

Donato Giancola
www.donatoarts.com



polub nas
na facebooku



Nowa
Fantastyka

www.fantastyka.pl > chcemy waszych opowiadań!

start opowiadania publicystyka hyde park prenumerata reklama redakcja

Nowa
Fantastyka
portal miłośników fantastyki

JAK PRZYSYŁAĆ OPOWIADANIA DO „NOWEJ FANTASTYKI” I „WYDANIA SPECJALNEGO”

1. Teksty w Wordzie w formacie **.rtf** lub **.doc** proszę przysyłać na adres **michalcetnarowski@fantastyka.pl**. Preferowane ustawienia pliku – czcionka Times New Roman 14, wcięcia akapitowe 1 cm (brak tabulatorów), bez odstępu między akapitami, z pojedynczym odstępem między wierszami. Opowiadania wysłane na ten adres, po przejściu selekcji, zostaną wybrane do druku w „Nowej Fantastyce” lub „Wydaniu Specjalnym”, a ich przeznaczenie zależy od decyzji redakcji.

2. Pamiętaj, żeby w pliku znalazło się **Twoje imię i nazwisko, namiary kontaktowe** (co najmniej adres e-mail i/lub numer telefonu) oraz – najlepiej – **krótka notka biograficzna** (ze szczególnym uwzględnieniem, czy autor publikował coś wcześniej i jeśli tak, to gdzie). Pliki z opowiadaniem trafiają ze skrzynki mailowej do katalogów na dysku twardym – jeśli nie znajdują się w nich te dane, przesłanie, przez kogo zostały wysłane jest potem utrudnione, jeśli nie niemożliwe. Dodatkowo **w tytule pliku proszę umieścić nazwisko autora i tytuł tekstu** (albo pierwsze słowa tytułu, jeśli cały jest dłuższy), np.: „Tolkien_Władca pierścieni”, „Lem_Niezwyoczony”. Podobnie powinien wyglądać temat e-maila (np. „Rowling, Kiedy Harry poznał Sally, opowiadanie”).

3. Z autorami wybranych tekstów skontaktujemy się mailowo lub telefonicznie najczęściej **do trzech miesięcy** od otrzymania pliku z opowiadaniem. Nie znaczy to jednak, że tekst zostanie opublikowany w tym terminie – czas publikacji zostanie ustalony w porozumieniu z autorem.

4. Jeśli „mailer daemon” na skrzynce nie sygnalizuje Ci, że przesyłka nie dotarła do redakcji, załóż, że dotarła. Potwierdzenie otrzymania e-maila to tylko niecała minuta, to prawda; ale potwierdzenie otrzymania stu e-maili to już więcej niż godzina. Ten czas lepiej poświęcić na czytanie Twoich opowiadań. Z podobnych powodów nie prowadzimy polemik na temat odrzuconych tekstów ani ich nie opiniujemy. Jeśli do trzech miesięcy nie skontaktuje się z Tobą nikt z redakcji, możesz założyć, że tekst nie został zaakceptowany.

5. Każdy zaakceptowany tekst podlega pracy redakcyjnej – **redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów i wprowadzania poprawek do tekstu**. Bądź na to przygotowany.

6. Pamiętaj, że brak akceptacji tekstu nie jest równoznaczny z brakiem akceptacji autora – czasem tekst nie jest zły, ale nie jest kompatybilny z gustem redaktora lub nie pasuje do aktualnych planów wydawniczych. Niech Cię to nie zraża. Próbuń dalej.

7. Pamiętaj, że brak szacunku okazany w kontaktach interpersonalnych nie jest najlepszą drogą do budowania dojrzałych relacji między partnerami złączonymi wspólnym celem. Nikt w redakcji nie jest Twoim wrogiem. Najczęściej przypadek to tylko przypadek. Daj sobie i nam drugą szansę.

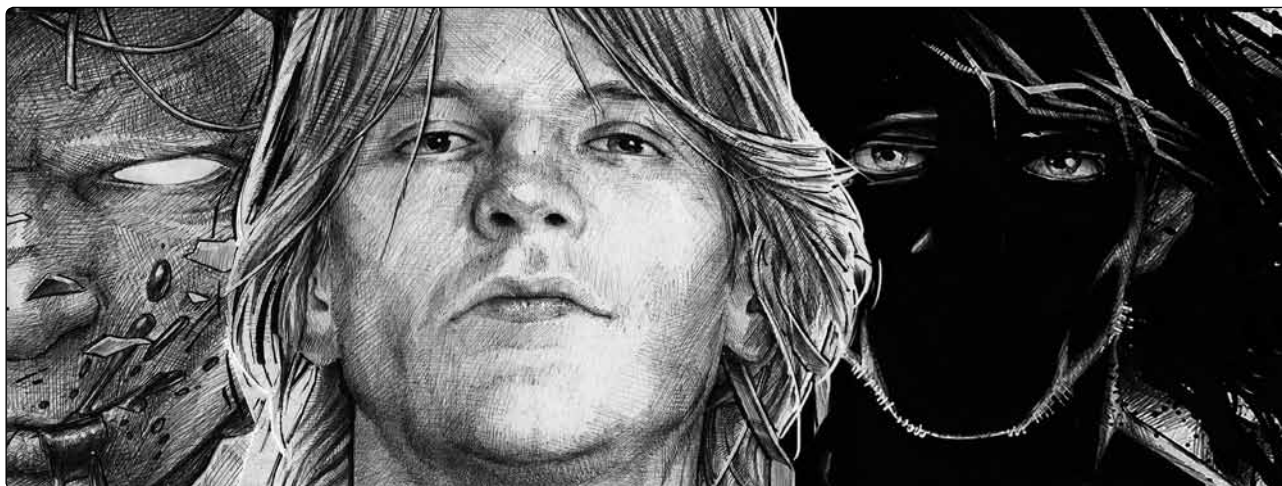
REDAKCJA „NF”



WIECZÓR W OGRODZIE

EWA BURY

Daniel Grzeszkiewicz



1. PRZYJĘCIE

Jest sierpień i piana zieleni na drzewach lekko oklapła. Rozpuszczają się powoli letnie barwy. Trawa ciągle jeszcze szklę się słonecznie, lecz lato się kończy. Nieuchronnie ma się ku jesieni. Wychodzą z pól ostatnie duchy żniw. Koślawe, złe, burkliwe. Opasłe południce o tęgich udach, obżarte ludzką biedą. Wietrznice pijane od potu żniwiarzy. Baby zbożowe obgryzające z lubością tyłki młodych wieśniaczek. Jesień czeka, kołysząc się na chmurach. Chociaż łąki jeszcze nieprzesiane przez sito chłodnych wiatrów. A niebo syte, szerokie. W taki czas zazdrości się menelom pijącym wino nad Wisłą. Bezdomnym śpiącym na ławkach w parku. W taki czas pragnie się zwolnienia z życia w mieście. Dyscyplinarnego. Nie poszłam do pracy, do roboty, do biura. Poszłam do ogrodu. Tam bogowie i ludzie urządzali przyjęcie u chłodnego źródła.

To piękny ogród. Wybrałam zakątek o głębokich studniach. Wchodzi się tam przez ścianę, przez dziurkę od klucza, przez obcas szklanego pantofelka. To raj o kamiennych posągach, które żywo kręcąc oczami, przepowiadają przyszłość. Ogród, gdzie kiściami roślinie błogość. Wybrałam się na przyjęcie do ogrodu. Jestem już niemal spóźniona.

Przyszło wielu niezwykłych gości. Don Kichote w grafitowej zbroi, z nocnikiem pod pachą. Lucyfer z fajką w sinych ustach. Gargantua i Pandagruel czule objęli. (Wyrzucono kiedyś przez okno podobną płaskorzeźbę i rozbiła się wśród innych śmieci na ulicy w Warszawie, rozdzielając kochanków. Ale wcześniej ta miłosna parka długo leciała w powietrzu i obejmowała się ciasno, klnąc na grawitację). Godot w nowych dzinsach i Makbet z niebezpiecznie rozbawionym spojrzeniem. Przyszli kłowni i pajace na długich szczudłach, z trąbkami z plastiku, wędrowni trubadurzy w barwnych rajtuzach, Arlekin w pomponach i jego smutni przyjaciele, babcia Galina Jewtuszenko z rybą owiniętą w gazetę, którą przed chwilą kupiła na targu. Przyfrunęły przezroczyste elfy i marionetki z oczami z guzików, cukrowe barany i ulicznicy z kieszeniami wypchanymi kolorowymi kulkami. Przybiegły także moje drogie przyjaciółki. Oluchna, Moto-Jaga, Świecąca Laleczka, Jaśminowa Pani, Mariolka, Karla Kosmos i Cytronetka od Kotów. Przyszły

także dusze umarłych, stare dziady i czaszki w kwiaty. Przyszli szamani, wiedźmy i herosi. Przyszły Kirke i Meduza. Przybyły liczne boskie wcielenia – starzy i nowi bogowie ze wszystkich światów. Pochyleni i wyprostowani, zamyśleni i rozbawieni, w futrach i w rogach, w cętkach krwi, szczęśliwi, w kopyta i kły ubrani, z długimi włosami upiętymi w koki.

Wkrótce zapłonęło żwawe, pachnące żywicą ognisko i znad grilla, gdzie skwierczało już mięso, buchnął gęsty, szary dym, jak ze stosu ofiarnego w dawnej Jerozolimie. Do zlewu w kuchni wstawiono piwo oraz wino. Nadziano na patyki kielbaski, boczek, drób. Na żółknącej trawie goście powyciągali nogi lub unosili się w milczeniu nad krzewami. Dziewczęta rozłożyły koce, a na nich swoje gitary i kapelusze. Wielki słoik z ogórkami stanął na dużym kamieniu. Mniejsze słoiki z musztardą i kaparami, mieniące się miedzianym blaskiem słońca, zalśniły wokół tego wielkiego niczym magiczny szklany krąg. Za ogrodzeniem żywopłotu czały się muchy, ptaki, żaby, butelki, karmelki, zaczarowany ołówek, zardzewiała żyłtka i inne przedmioty. Oluchna, Moto-Jaga, Świecąca Laleczka, Pani Jaśminowa, Mariolka, Karla Kosmos i Cytronetka od Kotów śpiewały razem z bogami. Sikaly na kępy dorodnych babek, bo babki mają lecznicze działanie, między suche, ostre trawy i na ubitą ziemię za małą górką w ogrodzie. Trochę płakały. Zrobiły parę fotek. Świecąca Laleczka podarowała im bransoletki z opali. Moto-Jaga przytarła w torebce tłumik z własnego motoru, który przydał się jako popielniczka. Pani Jaśminowa zrobiła wykład o świętych drzewach, ku uciechu celtyckich bogów takich jak Bloeduwedd, Cernunnos, Hern, Cordelia, Medb i Danu. Oluchna zjadła kielbasę Karli Kosmos, a Cytronetka od Kotów przypaliła swój błękitny sweterek, po tym, jak zasnęła przy ognisku, przy którym także zdrzemnął się stary Hefajstos – bolesny guz na czole przypominał mu o jego zdradzie. Śmiało pożądać kiedyś Ateny i Afrodyta, jego piękna żona, sama mająca za uszami tyle, że starczyłoby na kilka bogiń, wywarła na nim bożą zemstę.

A wcześniej? Odyn pobił się z Lokim. To stara historia, szkoda o niej gadać. Sztachetami z płotu pobili się bogowie jak ludzie na wiejskiej zabawie. A wcześniej? Krasnoludki domagały się od Realizmu odrobiny godności.

KOŁA NA WODZIE

MAŁGORZATA WIECZOREK

Daniel Grzeszkiewicz



PIĄTEK

O czwartej po południu wybiegłam z domu. W kilkadziesiąt minut znalazłam się na terenie warszawskiego Instytutu Neurologii i Psychiatrii. Szłam szybko, skrzący śnieg skrzypiał mi pod butami, a nowe płatki leciały z nieba, pokrywając udeptaną alejkę i bezlistne drzewa świeżym puchem.

Stałam i rozejrzałam się dookoła, zastanawiając się, gdzie iść dalej. Byłam już tu kiedyś, odwiedziłam brata w czasach, kiedy jeszcze chciał zostać psychiatrą, powinienam sobie przypomnieć. Po lewej znajdował się oddział zamknięty; wciąż pamiętałam, jak Filip przekręcił klucz w drzwiach, wpuszczając mnie do środka. Zbeształ wtedy przez okno pacjentów pohukujących na mój widok. Siedzieli na ławce ustawionej na wewnętrznym zakratowanym dziedzińcu. W rękach każdy z nich trzymał po papierosie, a mnie zaciekawiło, czy zaczęli palić w szpitalu, a to miejsce tak zmieniało ludzi, że każdy zostawał palaczem. Ja nie paliłam, będę miała okazję sama się przekonać.

Gdzieś tu powinna być tabliczka wskazująca izbę przyjęć. W końcu udało mi się narzucić spokój na tyle, że zaczęłam dostrzegać wokół siebie coś więcej niż śnieg, drzewa i zarysy budynków. Już wiedziałam, gdzie się skierować.

Przystanęłam przed drzwiami z metalu i szkła, tupnięciami strząsając śnieg z butów. Ktoś wychodził i drzwi się otworzyły, ruszyłam się, by je złapać. Powitało mnie czyste wnętrze w jasnych kolorach i rejestracja, która mogłaby się znaleźć w każdej mokatowskiej przychodni. Zbliżyłam się do okienka i stałam, czekając, aż rejestratorka przestanie układać papierki i zwróci na mnie uwagę.

– Słucham – powiedziała w końcu, podnosząc ufarbowaną na żółty blond głowę.

– Chciałabym się zgłosić na oddział.

Kobieta nic nie odpowiedziała. W ciszy zaczęłam zastanawiać się, czy powiedziałam coś niewłaściwego.

– Czy ma pani skierowanie?

Potrząsnęłam głową.

Jeszcze dłuższa cisza. A ja w popłochu zaczęłam się zastanawiać, czy myliłam się, sądząc, że można samemu zgłosić się do psychiatrii; że proszącemu nie odmówią pomocy.

W końcu żółta głowa postanowiła przerwać milczenie.

– Zależy, czy chce pani rozmawiać z lekarzem?

Potwierdziłam. O, tak! Tysiąc razy bardziej wolałam rozmawiać z lekarzem niż z nią. Nie miałam zamiaru przy kręcących się wokół ludziach przekonywać jej, dlaczego trzeba mnie zamknąć. Nic bardziej prywatnego od psychozy.

– Będzie musiała pani poczekać. Proszę usiąść.

– Dziękuję.

Oddechnęłam z ulgą, odwróciłam się i podeszłam do wąskiej ławki pod ścianą. Pierwszy, najtrudniejszy etap pokonany. Teraz powinno pójść już z górki. Usiadłam, kładąc koło siebie wypchaną torbę. Była w niej szczoteczka do zębów, ręcznik, książka. Chciałam też spakować kilka innych rzeczy, ale nie wiedziałam, co będzie mi wolno zatrzymać. Czy mi nie zabiorą komórki? Czy inni pacjenci nie zniszczą netbooka? Kłęłam na siebie za wizję zaczerpniętą wprost z „Lotu nad kukulczym gniazdem”, lecz nie mogłam się powstrzymać. Literatura opisuje świat tak, jak go później widzimy, trzeba ostrożnie dobrać lektury.

Czekałam cierpliwie, wyobrażając sobie, że lekarz w tym czasie wypełnia swoje obowiązki, uzupełnia nudne zapisy w kartach choroby lub odpowiada na pytania pacjentów. W końcu przyszedł, jak wszyscy ubrany w fartuch, spod którego widać było tylko ciemnozielone sztruksy i białe chodaki. Większość lekarzy chodziła w takich, przypominałam sobie, Filip miał podobne, twierdził, że lekarze potrzebują białego obuwia na zmianę i że jeśli znajdzie coś ciekawszego w tym kolorze, to chętnie zamieni. Propozycja, by nosił wobec tego tenisówki, została zbyt pogardliwym milczeniem.

Spojrzałam wyżej i podobieństwo do mojego brata umknęło. Filip był zielonookim blondynem średniego wzrostu i postury, podobnie jak nasz ojciec i dziadek – psych idący w moją stronę był z dziesięć centymetrów wyższy i z dziesięć lat starszy, a kasztanowate włosy sięgały kołnierzyka. Mój brat, wychowany w iście wojskowym drylu, nigdy by sobie na to nie pozwolił. Zawsze strzygł się na krótko i wyglądał jak oprych, chociaż się z tego śmiał i nazywał to efektem prymitywnego warunkowania z dzieciństwa.

Wstałam i ruszyłam naprzeciw lekarzowi.

– Pani do mnie?

UPADEK TROI

ŁUKASZ GÓRSKI



Daniel Grzeszkiewicz

– To ma być ten pomysł? – Agamemnon patrzył sceptycznie na trzymaną w rękę woskową tabliczkę.

Stojący obok Odyszeusz pokiwał energicznie głową. Jego twarz rozpromieniał dumny uśmiech.

Agamemnon westchnął i spojrzał ponownie na koślawy schemat nabazgrany rysikiem. W rogu widniał tłusty odcisk kciuka. Przekreślił tabliczkę o dziewięćdziesiąt stopni. A potem do góry nogami.

– Osiół... – stwierdził z mieszaniną zdziwienia i rezygnacji.

Odyszeusz poczerwieniał na twarzy.

– Wypraszam sobie! Może ty tu dowodzisz, ale obaj jesteśmy królami i nie pozwolę się obrażać!

– No co? – Władca Myken obrzucił przyjaciela nierozumiejącym spojrzeniem. – Ach... Nie, Odysie, nie jesteś osłem... – Zadumał się przez chwilę, ale w końcu machnął ręką. – Nie rozumiem tylko, czemu pokazujesz mi rysunek osła?

– To jest koń! – zaprotestował oburzony Odyszeusz.

Agamemnon zerknął jeszcze raz na tabliczkę. Wryte w wosku zwierzę miało krzywy pysk, zajęcze uszy i nieokreśloną na pierwszy rzut oka liczbę nóg. Z zadu wystawało coś, co jako żywo kojarzyło się z osłim ogonem.

– Koń – zgodził się w końcu wódz Achajów. Bardzo bolała go głowa.

– To z tyłu to rampa wejściowa, a z przodu i wzdłuż boków zrobimy wizjery. – Brudny paznokieć króla Itaki wskazywał nieczytelnie opisane elementy schematu.

– W szyi będzie drabina, a tu zamontujemy...

– Odysie... – przerwał Agamemnon. – To bardzo ładnie, że masz hobby, ale jak ten... koń... ma nam pomóc zdobyć Troję?

– Aha! – Odyszeusz zakrzyknął tryumfalnie. – A właśnie, że pomoże. To jest MACHINA!

Dowódca wpatrywał się w towarzysza bez słowa.

– Machina oblężnicza! – doprecyzował władca Itaki i uśmiechnął się zachęcająco.

Agamemnon pomasaował palcami nasadę nosa.

– Widzę, że wciąż nie rozumiesz. – Odys zasępił się nieco. – Właściwie powinienem się tego spodziewać. To zupełna rewolucja w sztuce oblegania. – Ożywił się. – Chcę

wybudować wielką rzeźbę z drewna, pustą w środku. Jej łeb sięgać będzie ponad mury Ilionu. Przez rozwarty pysk bestii Achajowie przedostaną się na umocnienia wroga. Jednocześnie rury zainstalowane w uszach bluzgać będą ogniem, a zawieszony pod brzuchem taran walić w bramy miasta niczym wielki...

– Zaraz, zaraz. – Król Myken podniósł dłoń. – Jakim ogniem?

– Och, to mój wynalazek – Odyszeusz uśmiechnął się skromnie. – Miałem sporo czasu i trochę eksperymentowałem w namiocie.

– Podпалиłeś pół obozu – przypomniał sobie Agamemnon.

– Ale receptura na ogień błyskawiczny okazała się skuteczna – odpowiedział pospiesznie Odys. Incydent miał miejsce trzy lata temu, ale niektórzy wciąż jeszcze patrzyli na niego krzywo.

– Aż nazbyt... – Przywódca Greków spojrzał jeszcze raz na niechlujny schemat. – A jak masz zamiar nie spocielić własnej maszyny?

– Zamontuje się takie specjalne dysze z brązu. Och, zresztą, na Hermesa, tyle pytań! Zobaczysz wszystko, gdy skończymy, i zachwycisz się.

Agamemnon pokręcił głową i oddał Odysowi tabliczkę.

– To... bardzo ambitny projekt, przyjacielu. Tylko jak zamierzasz zachować to w sekrecie przed Trojanami?

– Ukryjemy się. – Odyszeusz tryskał optymizmem.

Władca Myken rozejrzał się. Otaczająca Ilion równina była pokryta rzadkimi kępami trawy. Wszystkie, nawet najmniejsze drzewka zostały wycięte przez Greków na tyczki, włócznie i strzały.

– Gdzie?

– Eee... Za krzaczkiem? – zasugerował Odys niepewnie, pokazując ręką gdzieś za plecy towarzysza.

Agamemnon odwrócił się w kierunku wskazanym przez przyjaciela. Pięćdziesiąt stóp od nich rósł rachityczny krzew róży. Wódz wyraźnie dostrzegł schowanego za nim królika.

– Odyszeuszu... – Przesunął dłonią po twarzy. Nagle coś go tknęło. – A z czego ty właściwie chcesz zrobić tego konia?

NIEPROSZENI GOŚCIE

(The Men from Porlock)

LAIRD BARRON



Daniel Grzeszkiewicz

Wrzesień, 1923 r.

Kiedy mężczyźni wstali, wyciągnięci przez odpływ targający ich krwią, mrok wszystko jeszcze przytłaczał swoim ciężarem. Deski w podłodze jęczały pod naporem ludzi, którzy w ciemnym baraku szurali i tupali niczym konie pociągowe. Światło gwiazd przeciskało się przez szpary w deskach ścian. Ktoś rozpałił w piecu i dym zaczął wic się wśród pryczy i ciągnąć ku krokwiom. Całą noc padało, powietrze było więc upiornie wilgotne. Wydychana para zbierała się na belkach i skroplona powoli skapywała jak ze stalaktytów w wapiennej jaskini. W baraku śmierdziało jak w bunkrze: kreozot wymieszany z potem, bąkami i gnijącymi zębami oraz gorzkawy posmak popiołu i nadpalonego tytoniu.

Miller zwinął się prawie w kłębek przy grubo ciosanym sosnowym stole i jadł śniadanie składające się z gęstym puddingu polanego melasą. Wyskrobywał go blaszaną łyżką z blaszanej patelni poczerniałej of tysięcy palenisk i pełnej blizn od ataków tysiącem łyżek. Kiedy skończył, wytarł wasy w rękaw i zaczął pić czarną kawę z blaszanego kubka, ostatniego elementu jego prostej zastawy.

Ręce miał brudne i pokryte odciskami od pracy piłą i drwal-ską siekierą. Przez te wszystkie lata kilkakrotnie połamał sobie kości w dłoniach, kłykie miał więc spuchnięte niczym orzechy włoskie. Lewej ręki nie mógł już zacisnąć w pięść; rankami dłonie miał zmarzniete w szczypce jak u kraba i ledwo mógł chwycić swoją kuśkę, nie mówiąc już o trzymaniu siekiery. Przynajmniej był jeszcze młody. Większość starych przyków nie miało już palców lub było poobijanych na sto różnych sposobów – od wypadków, przez bójkę, po lata powolnego i zabójczego ścierania przy każdym zamachnięciu kilofem bądź siekierą. Szwedowi Olsenowi (pierwszemu z wielu Szwedów na zachód od Gór Skalistych) w dzieciństwie łańcuch pogru-chotał nogę, przez co kuśtykał po obozie z siekierą zamiast kuli. Jego największy przeciwnik – Norweg Sven (pierwszy z niezliczonych norweskich drwali z południa Norwegii) stracił zęby i ucho podczas zakładania kabla do skiddera na Starym Kontynencie – zakładanie kabli było psią robotą

bez względu na to, gdzie się ją wykonywało. Nawet znany z refleksu Niemiec Manfred oberwał raz zbląkaną gałęzią. Od tego czasu miał na głowie miękkie i pozbawione włosów miejsca, jakby przeżył pożar, a jedno oko opadło mu niżej niż drugie. Ostatnio Maniek wspinał się na drabinę do parowego kołowrotu. Mało było prawdopodobne, żeby ktoś zginął podczas obsługi kołowrotu; jeśli jednak coś szło nie tak, człowiek był szarpany, kaleczony i ginął prawie bez cierpień.

Jeden z Polaków, smukły, uprzejmy chłopak o imieniu Kacper, często pytał Millera, czy planował rzucić ten interes, zanim zerwany kabel utnie mu łeb, połamie nogi lub przetnie na pół, albo mężczyzna skończy z nożem wbitym między żebra podczas przepychanki w saloonie. Może Miller był uparty jak większość mężczyzn w jego wieku i uzależniony od bezpieczeństwa, jakie przynosiły szybkie pieniądze zarabiane w fachu, który chciało niewielu, a z którego jeszcze mniej odchodziło?

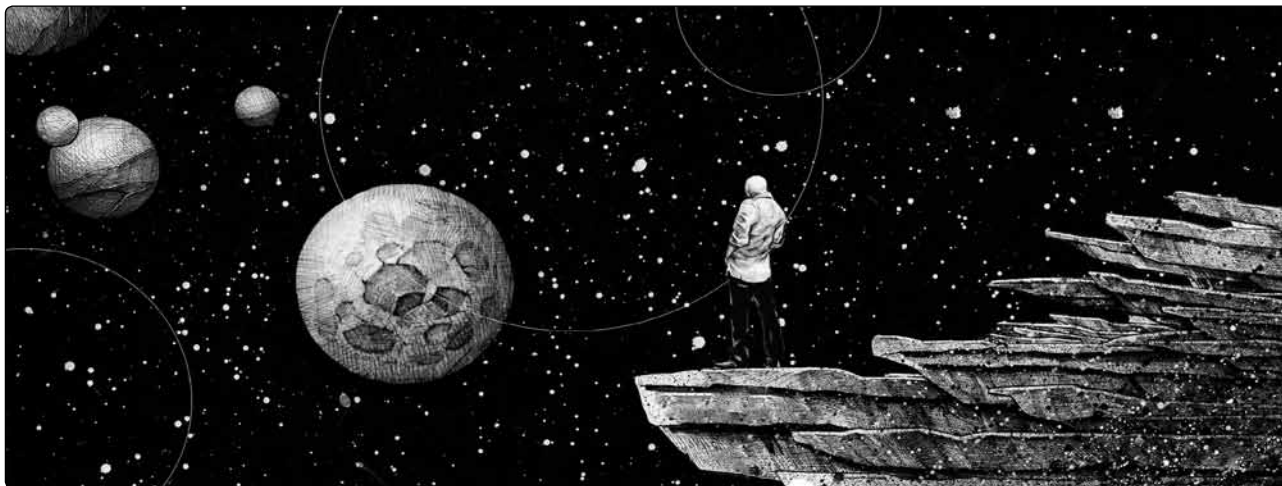
Kacper natomiast twierdził, że nie jest uparty, a raczej przekłety – we krwi miał szaleństwo, które pchało go ku okrutnej pracy, zapłacie za grzech popełniony przez aroganckiego przodka w pomrokach dziejów Europy Wschodniej. Przy świetle lampy Polak pisał wiersze i opowiadania. Jego tłumaczenia na angielski były tak słabe, że ową poezję trudno było oceniać. Miller nie był entuzjastą sztuki piśmiennictwa, choć odczuwał niechętny podziw dla osób potrafiących zmyślnie składać słowa. Jego babcia w młodości studiowała zagranicą. Kiedy wróciła do Stanów, pisała pamiętniki po łacinie, aby zbić z tropu wścibskich krewnych. Pokazała je Millerowi, gdy odwiedził ją w Illinois – babcia wypełniła siedemdziesiąt dwa obłożone materiałem zeszyty, tworząc tym samym małą biblioteczkę.

Tego dnia Kacper siedział na ławie z dala od Millera, stając się zamglonym kształtem wśród rozpychających się łokci i zgrzytających zuchw. Ten układ zadowalał Millera – cały poprzedni dzień Polak pracował z nim przy ścinaniu olbrzymiego starego cedru ośmiostopową piłą. Tak jak wszyscy Polak wiedział, że Miller należał do luźnej grupy weteranów zasiedlających Obóz Slango.

TYSIĘCZNA NOC

(A Thousandth Night)

ALASTAIR REYNOLDS



Daniel Grzeszkiewicz

Po południu, w dzień przed prezentacją mojej wersji, motyle w brzuchu nie dawały mi spokoju. Miałem kiepski apetyt i zero chęci na pogawędki. Chciałem tylko, żeby następne dwadzieścia cztery godziny zleciały jak najszybciej i żeby zamiast mnie pocili się tu już ktoś inny. Najbardziej na świecie pragnąłem wtedy wrócić na statek i spać do rana, ale zabraniała tego etykieta. Musiałem więc z uśmiechem znosić to wszystko, tak samo jak inni, kiedy przychodziła ich kolej.

Kilometr pode mną fale rozbijały się o śnieżnobiałe klify, ochlapując jeden z eleganckich wiszących mostów, które łączyły główną wyspę z mniejszymi. Dalej garbata sylwetka podwodnika kołysała się na wodzie. Widziałem maleńkich ludzi bawiących się na moście i tańczących w wodnej mgłę. Tym razem to ja zaprojektowałem miejsce karnawału i chyba poradziłem sobie nie najgorzej.

Szkoda tylko, że nic z tego nie przetrwa.

Za nieco ponad rok maszyny zniszczą te wyspy, zamieniając strzeliste budynki w drobny gruz. Morze zabierze je ze sobą, zanim ostatni z naszych statków opuści ten układ. Ale nawet ono przetrwa niecały tysiąc lat dłużej. Aby utworzyć w tym jałowym świecie oceany, skierowałem tu lodowe komety. Sama atmosfera była bardzo niestabilna. Teraz mogliśmy jeszcze nią oddychać, ale w całym Zgromadzeniu nie było już biomasy potrzebnej do uzyskania tlenu, który moglibyśmy zamieniać dalej w dwutlenek węgla. Za dwadzieścia tysięcy lat ten świat będą mogły zamieszkiwać już tylko najbardziej wytrzymałe mikroorganizmy. Taki stan utrzymywał się będzie do naszego powrotu, czyli przez kolejne sto osiemdziesiąt tysięcy lat.

Wtedy sceneria będzie już problemem nie moim, ale kogoś innego. W Tysięczną Noc – czyli ostatni wieczór naszego Zgromadzenia – osoba, która stworzy najlepszą wersję, otrzyma zadanie zaprojektowania miejsca na następne spotkanie. W zależności od jej planów, przybędzie tu na tysiąc do dziesięciu tysięcy lat przed oficjalnym otwarciem.

Słyszając za sobą pospieszne kroki, zacisnąłem dłoń na poręcz wysokiego balkonu. Stukot twardych, wysokich obcasów o marmur i szelest wieczorowej sukni.

– Nie mów, Goździku. Stres?

Obróciłem się, witając sztucznym uśmiechem piękną i władczą Portulakę, a potem mruklawie przytaknąłem.

– Uhm. Skąd wiedziałas?

– Intuicja – odparła. – Właściwie dziwię się, że w ogóle tu jesteś.

– Dlaczego?

– Jestem pewna, że kiedy przyjdzie moja kolej, o tej porze nadal będę jeszcze na swoim statku, nerwowo poprawiając wszystko do ostatniej chwili.

– W tym właśnie problem – powiedziałem. – Zrobiłem już wszystko, co mogłem. Nie ma już co poprawiać. Od ostatniego razu nic się nie wydarzyło.

Portulaka zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem. Jej włosy upięte były wysoko i przypominały baśniowy pałac otoczony wieżyczkami.

– Typowa fałszywa skromność – stwierdziła, podając mi kieliszek wina, zanim zdążyłem odmówić.

– Tym razem nie ma w tym żadnego fałszu. Moja wersja okaże się ogromnym rozczarowaniem. Im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej.

– Będzie aż tak nudna?

Łyknąłem wina.

– To kwintesencja nudy. Miałem wyjątkowo mało atrakcyjne dwieście tysięcy lat.

– Ostatnim razem mówiłeś dokładnie to samo. A potem pokazałeś nam wspaniałości i cuda. Zrobiłeś na wszystkich wrażenie.

– Być może się starzeję – powiedziałem. – Tym razem miałem ochotę pójść trochę na łatwiznę. Poczynilem świadomy wysiłek, aby trzymać się z dala od zamieszkanego świata; od miejsc, gdzie mogłoby wydarzyć się coś ekscytującego. Obejrzałem wiele zachodów słońca.

– Zachodów słońca...

– Głównie gwiazd z układów podobnych do Słonecznego. Przy określonych warunkach atmosferycznych, kiedy powietrze jest czyste, a widoczność dobra, można czasem zauważyć błysk zieleni, który pojawia się tuż przed zniknięciem gwiazdy za horyzontem... – urwałem, rozdrażniony brzmieniem własnego głosu. – No dobrze, to tylko sceneria.

– Dwieście tysięcy lat czegoś takiego?

– Wcale nie żałuję. Cieszyłem się każdą minutą.

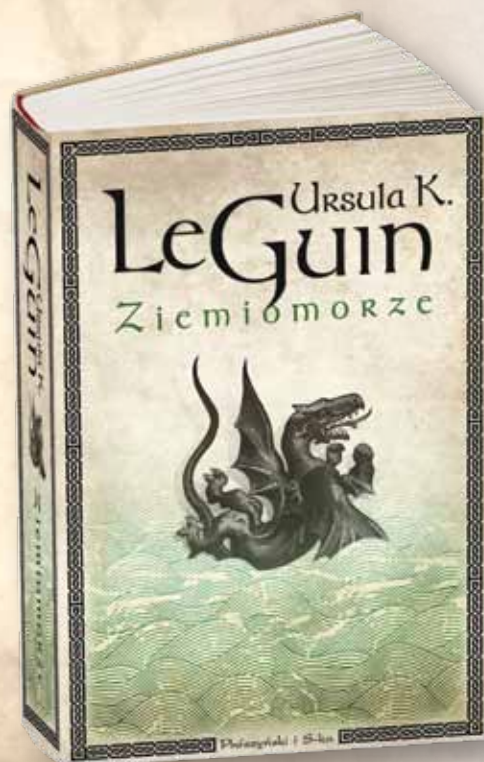
Portulaka westchnęła i pokręciła głową. Byłem beznadziejnym przypadkiem i nie próbowała tego ukryć.

PROMOCJA PRENUMERATY

„Ziemiomorze” Ursuli K. Le Guin
to kultowa seria fantasy
po raz pierwszy
w jednym tomie!

Tylko od 23 grudnia 2013 roku
do 25 stycznia 2014 roku przy zamówieniu
prenumeraty „Nowej Fantastyki”
możesz otrzymać „Ziemiomorze”

z 40% rabatem*



WYSTARCZY POLICZYĆ, CO SIĘ NAJBARDZIEJ OPŁACA:

Zamów prenumeratę
„Nowej Fantastyki”
i „Fantastyki Wydanie Specjalne”

za 155* zł

Otrzymasz:

„Ziemiomorze” = 69,90 zł
12 numerów „NF” = 119,88 zł
4 numery „FWS” = 39,96
W sumie = 229,74 zł

OSZCZĘDZASZ PONAD 74 zł!

Zamów prenumeratę
„Nowej Fantastyki”

za 131* zł

Otrzymasz:

„Ziemiomorze” = 69,90 zł
12 numerów „NF” = 119,88 zł
W sumie = 189,78 zł

OSZCZĘDZASZ PONAD 58 zł!

* koszt prenumeraty uwzględnia książkę „Ziemiomorze” z rabatem 39,91% oraz koszt przesyłki w wysokości 5 zł



PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00
PROMOCJA	131,00	-	155,00

Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–16.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

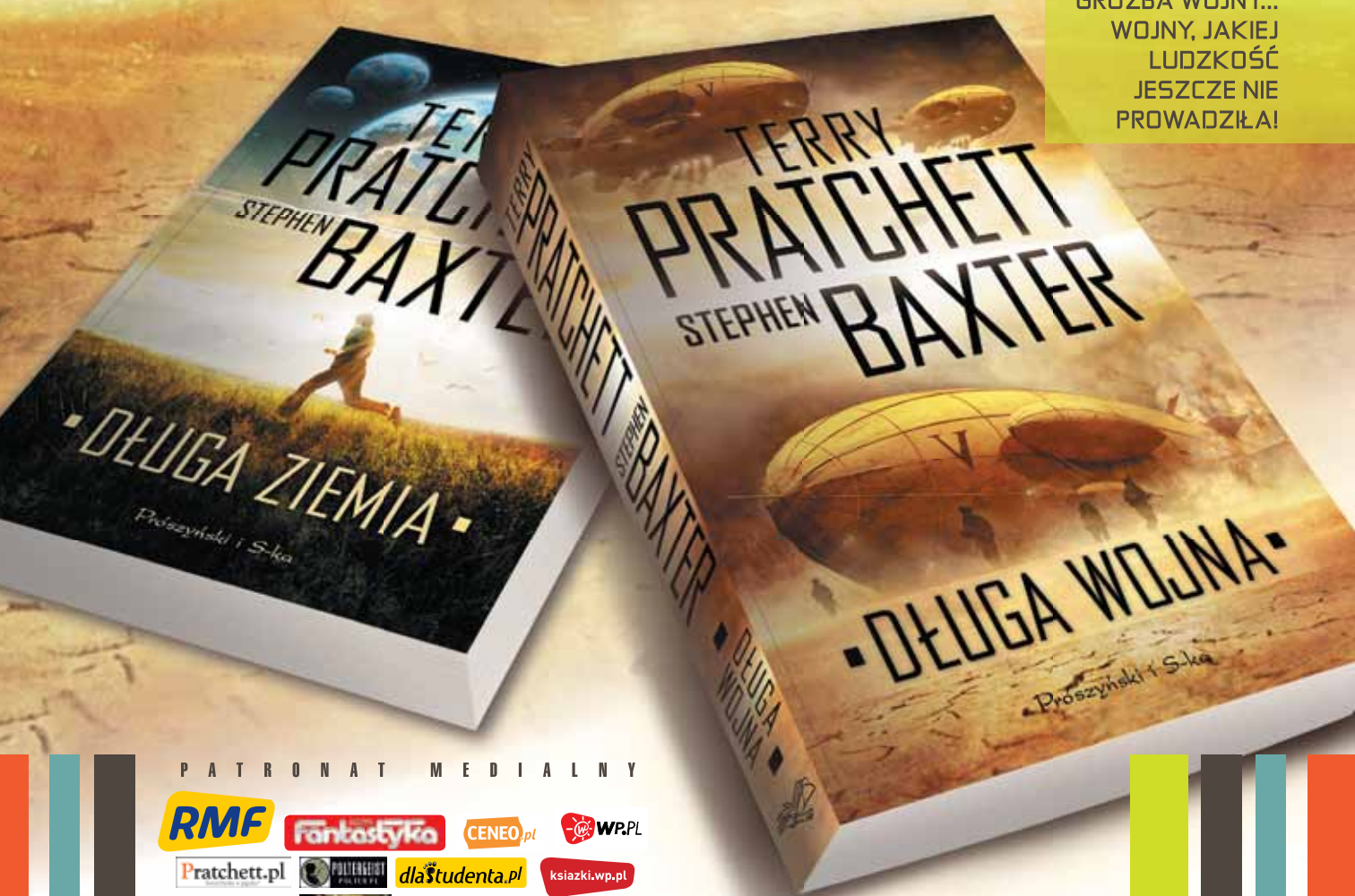
- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.
- książka będzie wysyłana z najbliższą wysyłką prenumeraty.

JEDEN ŚWIAT! TO ZA MAŁO!

www.proszynski.pl

NOWA CZĘŚĆ
ZNAKOMITEGO CYKLU
**TERRY'EGO
PRATCHETTA!**

A W NIEJ:
CAŁKIEM REALNA
GROŹBA WOJNY...
WOJNY, JAKIEJ
LUDZKOŚĆ
JESZCZE NIE
PROWADZIŁA!



PATRONAT MEDIALNY

